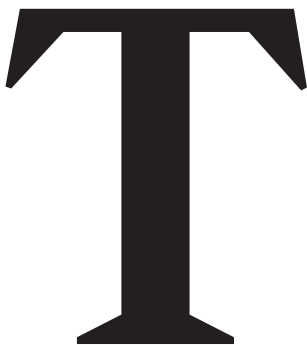


MARK TWAIN



UTWORY WYBRANE

TOM 2

PROZY KRÓTKIE I DŁUŻSZE

Fart • Romans eskimoski • Niezwykły wynalazek •
Człowiek, który zdemoralizował Hadleyburg • Feralny krążek
• Kryminał dubeltowy • Niebo czy piekło? • Pieskie życie •
Trzydzieści tysięcy dolarów w spadku • Opowieść konia
i inne opowiadania, skecze, bajki i humoreski

Przełożyli Bronisława Bałutowa, Antoni Marianowicz,
Anna Przedpeńska-Trzeciakowska, Hanna Pustuła-Lewicka,
Antoni Słonimski, Maciej Świerkocki, Krystyna Tarnowska,
Teresa Truszkowska, Ewa Życieńska

Edycję opatrzył posłowiem Jerzy Jarniewicz

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

FART

Było to w Londynie na bankiecie na cześć jednego z dwóch lub trzech najwybitniejszych angielskich wojskowych tamtego pokolenia. Z powodów, które wkrótce zostaną wyjaśnione, nie ujawnię prawdziwego nazwiska i rangi, i nazwę go generałem lordem Arthurem Scoresbyem, V.C., K.C.B.¹ etc., etc., etc. Jest coś niezwykle fascynującego w znanym nazwisku! Na własne oczy, z bliska, ujrzeć człowieka, o którym słyszało się tysiące razy, odkąd trzydzieści lat wcześniej podczas wojny krymskiej niespodziewanie wzniósł się na szczyty sławy, by nigdy z nich nie spaść. Z rozkoszą syciłem oczy widokiem tego półboga; wpatrywałem się, obserwowałem, odnotowywałem: spokój, opanowanie, szlachetną dostojność obli-

To nie jest wymyślona historia. Usłyszałem ją od duchownego, który czterdzieści lat temu był instruktorem w Woolwich i który zarzekał się, że to wszystko wydarzyło się naprawdę (przyp. aut.).

¹ V.C. Victoria Cross, Krzyż Wiktorii – najwyższe odznaczenie wojenne Imperium Brytyjskiego; K.C.B. Knight Commander of the Bath – Kawaler Komandor Orderu Łaźni (przyp. tłum.).

cza; prostoduszną uczciwość, bijącą z całej jego postawy; cudowną nieświadomość własnej wielkości – nieświadomość wbitych w niego setek zachwyconych spojrzeń, nieświadomość głębokiej miłości i szczerzej czci, wzbierających w sercach otaczających go ludzi i przelewających się na niego gorącą falą.

Na lewo ode mnie stał duchowny, mój stary znajomy: teraz służył Bogu, ale pierwszą połowę życia spędził w koszarach i na polach bitwy jako instruktor w szkole wojskowej w Woolwich. W chwili, o której opowiadam, jego oczy zalśniły dziwnym, przytłumionym blaskiem. Pochylił się ku mnie i wskazując gestem bohatera bankietu, powiedział konfidencjonalnym szeptem: – Tak między nami, on jest kompletnym głupcem.

Zdumiała mnie ta opinia. Moje zdumienie nie byłoby większe, gdyby powiedział to samo o Napoleonie, Sokratesie czy Salomonie. Dwóch rzeczy byłem pewien: że walebnym był człowiekiem bezwzględnie prawdomównym i że znał się na ludziach. Dlatego zrozumiałem, bez cienia wątpliwości, że świat mylił się co do tego bohatera: on był głupcem. Postanowiłem dowiedzieć się, kiedy nadarzy się po temu sposobny moment, w jaki sposób walebny, zupełnie sam i bez niczyjej pomocy, odkrył tę tajemnicę.

Wyjaśnienie tej osobliwej uwagi przyszło kilka dni później. Oto co opowiedział mi walebny:

Mniej więcej czterdzieści lat temu nauczałem w akademii wojskowej w Woolwich. Byłem świadkiem, jak Scoresby składał swoje pierwsze egzaminy. Zrobiło mi

się go serdecznie żał; gdy reszta klasy odpowiadała szybko i elegancko, on – mój Boże, nie umiał, że tak powiem, kompletnie nic. Widać było, że to dobry, słodki, uroczy, prostoliniyjny chłopak; serce bolało patrzeć, jak z pogodną miną pogańskiego bożka wygłasza niehumanitarne brednie, świadczące o głupocie i ignorancji. Współczułem mu z całej duszy. Powiedziałem sobie, że przy następnych egzaminach naturalnie go wyleją; w tej sytuacji złagodzenie w miarę możliwości jego upadku byłoby nieszkodliwym dziełem miłosierdzia. Wziąłem go na stronę i odkryłem, że zna trochę dzieje Cezara; ponieważ o niczym innym nie miał pojęcia, przystąpiłem ostro do dzieła i niczym dozorca niewolników tresowałem go z serii standardowych pytań na temat Cezara, o których wiedziałem, że będą na egzaminie. Nie uwierz pan, ale jak przyszło co do czego, zdał śpiewająco! Prześlizgnął się wyłącznie na tym, co zakuł, i jeszcze mu gratulowano, podczas gdy inni, którzy wiedzieli tysiąc razy więcej niż on, się ścięli. Cudownym zbiegiem okoliczności, jaki zdarza się raz na sto lat, nie dostał żadnego pytania spoza wąskiego zakresu, który mu wbiłem do głowy.

To było zdumiewające. Przez całą naukę wspierałem go, jak matka wspiera kalekie dziecko; zawsze jakimś cudem udawało mu się wybrnąć.

Tym, co musiało go w końcu wydać i zabić, była oczywiście matematyka. Postanowiłem zapewnić mu możliwie lekki zgon; ćwiczyłem go i wbijałem mu do głowy, wbijałem mu do głowy i ćwiczyłem go z najbardziej prawdopodobnych pytań, a potem posłałem na śmierć. Niech

pan spróbuje sobie wyobrazić: ku mojej konsternacji zdał z najwyższą lokatą! Dosłownie zasypano go pochwałami.

Sen! Przez tydzień nie zaznałem snu. Dzień i noc dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Kiedy robiłem to, co zrobiłem, kierowałem się wyłącznie współczuciem, chciałem osłodzić biedakowi upadek; nie przyszło mi do głowy, że to się skończy tak niedorzecznie. Czułem się winny i nieszczęśliwy, niczym stwórca Frankensteina. Był tępy jak pień, a ja pchnąłem go na drogę świetlanej kariery i ważkich obowiązków. Pocieszałem się, że on sam i jego obowiązki przy pierwszej okazji przywiodą go do ruiny.

Wybuchła wojna krymska. Powiedziałem sobie, że oczywiście musiała wybuchnąć wojna: nie mogliśmy przecież mieć pokoju i pozwolić temu osłowi spokojnie umrzeć, zanim wszystko się nie wyda. Oczekiwałem katastrofy. Nadeszła. A kiedy nadeszła, nogi się pod mną ugięły. Przeczytałem w gazecie, że awansowano go na kapitana w regimencie piechoty! Lepsi od niego zdążą się zestarzeć i posiwieć w służbie, zanim dochrapią się takiej rangi. Kto mógł przewidzieć, że taka odpowiedzialność zostanie złożona na wątłe barki tępego żółtodzioba. Ledwo bym zniósł, gdyby zrobili go podchorążym; ale kapitan – niech pan tylko pomyśli! Myślałem, że osiwieję.

I wie pan, co zrobiłem – ja, który kocham spokój i bezczynność? Powiedziałem sobie, że jestem to winien krajowi, że muszę pojechać z nim na front i, na ile zdołam, chronić przed nim ojczyznę. Wypłaciłem więc mój skromny kapitał, zaoszczędzony dzięki wieloletniej ciężkiej pracy

i rygorystycznym wyrzeczeniom, z westchnieniem żalu kupiłem stopień chorążego w jego regimencie i wyruszyliśmy na front.

A tam – o Boże, to było okropne. Błędy? Nie robił nic oprócz błędów. Ale widzi pan, nikt nie znał jego sekretu, wszyscy patrzyli na niego pod fałszywym kątem i siłą rzeczy mylnie interpretowali jego działania – w efekcie brali jego idiotyczne błędy za przejawy natchnionego geniuszu; naprawdę, nie kłamię! Nawet najdrobniejszy z jego błędów doprowadziłby rozumnego człowieka do płaczu. Przeto płakałem – a między nami mówiąc, szalałem też z wściekłości i gniewu. Najgorsze było to, że każdy kolejny błąd dodawał większego blasku jego reputacji. Mówiłem sobie, że zajdzie tak wysoko, iż kiedy wszystko się wyda, będzie to tak, jakby słońce spadło z nieba.

Piął się do góry, stopień za stopniem, po trupach zwierzchników, aż wreszcie, w najgorętszym momencie bitwy... poległ nasz pułkownik. Serce podeszło mi do gardła, bo teraz najwyższy rangą był Scoresby! Stało się, powiedziałem sobie. Za dziesięć minut z całą pewnością zejdziemy wszyscy do szeolu.

Walka była bardzo zacięta; sprzymierzeni cofali się na całej linii. Nasz regiment zajmował kluczową pozycję; błąd w tej sytuacji spowodowałby katastrofę. I co zrobił w krytycznym momencie nasz nieśmiertelny głupiec, jeśli nie poderwał regimentu i nie rzucił go do ataku na sąsiednie wzgórze, gdzie nie było nawet śladu wroga? No i proszę, powiedziałem do siebie, doigraliśmy się.

Ruszyliśmy do ataku i zanim ktokolwiek zdążył zareagować i nas zatrzymać, wspięliśmy się na boczną grań.